

# **NOWY** MERKURIUSZ *Historyków*

MAGAZYN

Studenckiego Koła Historyków Akademii Bydgoskiej  
Im. Kazimierza Wielkiego



**nr 20, Marzec / Kwiecień / Maj 2005**

## Słów kilka tytułem wstępu

Oto Mercuriusz. Nareszcie jest. W bólach i trudach, ale dwudziesty numer naszego pisma narodził się!

Nim rozpoczniecie lekturę chciałbym wyjaśnić pewną kwestię. W zamierzeniu swoim Mercuriusz Historyków nie jest pismem czysto naukowym, dlatego znajdziecie w nim różne artykuły, często związane z historią bardzo luźno, będące po prostu projekcją zainteresowań autorów.

Jak wskazuje sama nazwa, jest Mercuriusz pismem historyków, a więc również Waszym, **Drodzy Czytelnicy**. Naturalnym zjawiskiem, obecnym przy każdym wydaniu Mercuriusza, jest krytyka pod adresem zarówno jego samego jak i Koła Historyków. Taka jest kolej rzeczy, tak musi być. Chciałbym tylko zauważyć, że kształt **naszego wspólnego** pisma zależy nie tylko od osób, które je tworzą, ale także, a może przede wszystkim, od tych, które nie biorą udziału w pracach nad nim.

Moim zdaniem warto pisać do Mercuriusza. Powodów jest co najmniej kilka. Daje on szansę na publikację tego co nam w głowie siedzi, możemy się wypowiedzieć, przedstawić swoje zainteresowania, zaistnieć na forum naszego periodyku. Jest jeszcze jeden element, nagroda dla tych kilku osób, które przyczyniły się do powstania tegoż numeru – satysfakcja.

Zapraszam was do nawiązania kontaktu ze Studenckim Kołem Historyków Akademii Bydgoskiej. Drzwi pok. 29 są dla Was otwarte. Możecie także pisać do nas elektronicznie na adres [skhab@o2.pl](mailto:skhab@o2.pl).

Redaktor Naczelny

### Spis treści:

I.	Słów kilka tytułem wstępu.....	s. 2
II.	Podniebni samuraje – kamikadze.....	s. 3
III.	Ewolucja z rewolucji czyli historia kamieniem się toczy....	s. 3
IV.	Relikwiarz.....	s. 4
V.	Z sieci wzięte.....	s. 7
VI.	Armia Chanatu Krymskiego.....	s. 13
VII.	Kocur na usługach US Navy.....	s. 15



### **Redaktor naczelny**

Krzysztof Pałuczak

### **Korekta**

Monika Wawrzyńska  
Jarosław Klonowski

### **Prezes SKHAB**

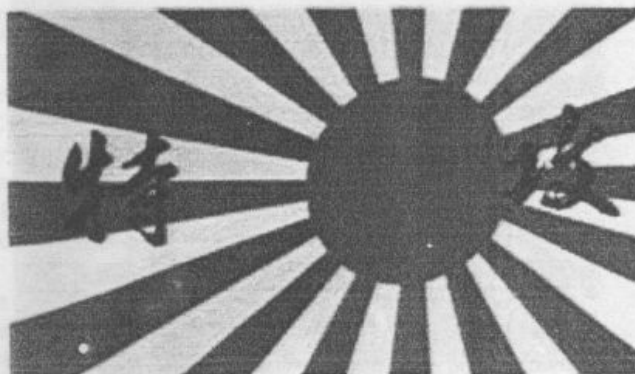
Justyna Łabicka

### **Autorzy artykułów w numerze**

Jarosław Klonowski  
Łukasz Pacholski  
Krzysztof Pałuczak

"Wasze zadanie oznacza waszą śmierć. Martwe będą tylko wasze ciała, a nie dusze. Śmierć każdego z was oznacza narodziny miliona innych. Wybierzcie taką śmierć, która przyniesie maksimum pożytku...."

## PODNEBNI SAMURAJE KAMIKADZE



Kiedy po bitwie o Mariannę, wielka armada okrętów wojennych US Navy zbliżała się ku Wyspom Japońskim, sięgnięto po ostateczną broń. Do walki skierowano Korpus Specjalny Kamikadze. Tworzyli go ludzie w jedwabnych tunikach zasiadający za sterami „samobójczych” samolotów. Kamikadze (jap. Boski Wiatr) byli ostatnią nadzieją ginącego cesarstwa. Japończycy Boskim Wiatrem nazwali tajfun, który w 1281 r. zniszczył mongolską flotę inwazyjną Kubłaj-Chana, liczącą 3500 okrętów, w ten sposób ocalił niespodziewanie kraj wschodzącego słońca od klęski.

Dokończenie na s. 8

## Ewolucja z rewolucji czyli historia kamieniem się toczy

Dziękuję A.C. Clarkowi za inspirację.

Historia, którą chcę opowiedzieć zaczęła się bardzo dawno temu gdzieś wśród równin środkowej Afryki. Żyło tam plemię małp czy raczej małpoludów. Nie był to łatwy żywot, grupa liczyła sobie tylko kilkanaścioro istnień, co gorsza z roku na rok było ich coraz mniej. Średnia długość życia członków plemienia wynosiła ok. 24 lat. Oprócz chorób, podstawową przyczyną zgonów był głód. Małpoludy jadły to co same znalazły, prymitywne zbieractwo nie pozwalało poczuć czym jest nasycenie. Bywało, że jedynym pokarmem w ciągu dnia była garść cierpkich i gorzkich jagód, czasami udawało się zdobyć resztki pozostawionej przez hieny padliny. Do szczęśliwych dni należały te gdy posiłkiem było kilka kropel miodu. Co prawda pszczoły kąsały gdy dobierano się do ich gniazda lecz słodki miód był tego wart, pozwalał choć na parę chwil pozbyć się uczucia głodu. Głodu, który determinował małpie poczynania. Każda chwila dnia była wypełniona poszukiwaniem jedzenia, mimo tego małpoludy były na skraju głodowej śmierci. O ironio, **umierały z głodu pośród milionów ton spokojnie pasącej się żywności.** Wspólnie z małpoludami równinę zamieszkiwały nieprzeliczone stada antylop, kóz, świń... Zwierzęta te nie zwracały uwagi na dziwne dwunożne istoty, które każdego dnia chodziły między nimi, czasami nawet się o nie obijając. Dzwone zwierzę nie stanowiło zagrożenia ani konkurencji. Nie jadło przecież trawy, której wszędzie było w bród, po prostu łąziło bez celu.

Dokończenie na s. 12

**NOW** **M** **IERKURNUSZ**  
*Historyków*

## Relikwiarz

Macie przed sobą coś na kształt naukowego wyznania. Nie powinno ono ujrzyć światła dziennego, jak ja, z powodu osobliwej przypadłości, o której trochę później, nie mogę opuścić już swojego domu przy ulicy LaFayette w mieście X. Nazywam się Pierre LeBascue i przez blisko rok badałem historię, którą ośmieliłem się nazwać "Sprawą Scatianellich", ponieważ przed zmianą nazwiska podczas zawieruchy II Wojny z takim właśnie mianem obnosiła się moja rodzina.

Zawsze byliśmy uciekinierami, umykaliśmy najpierw od obowiązku, następnie od kary. Sam nie zdawałem sobie sprawy z istoty tego przewinienia. Dziś jest inaczej i martwię się, że to koniec. Historia dogoniła swoje ofiary i prowodyrów w jednym. Przed północą ostatni Scatianelli strzeli sobie w łeb, używając lugera swojego dziadka, który po to chyba tylko służył w Wehrmachcie, aby jego wnuk mógł sobie zrobić dziurę we łbie. Ale zacznijmy od początku...

Wszyscy pochodzimy z Wenecji. Nie podam konkretnych naszych zasług, nazw ulic, choć znam każdy szczegół. Wiem także, że lepiej, aby obcy nie zagrzebywali się we wspomnieniach i starych fotografiach. W takim przypadku wszystko zaczęłoby się na nowo. Świat nie zniósłby drugiego Floriana S.

Wystarczy powiedzieć, że byliśmy wśród pierwszych bizantyjskich rozbitków i być może nawet to my zdecydowaliśmy, że Wenecja stanie się naszym azylem. Wiele lat później wzniesiliśmy się na szczyty obłudy, występku i bogactwa, lecz wtedy jeszcze wszystko to, co posiadliśmy, zdobyte zostało drogą przestępczą, lecz przynajmniej naturalną. Z naszych dzieł warto wspomnieć choćby pierwsze próby formowania rad miejskich, czy też występkę przeciw barbarzyńcy z Niemiec, który próbował zbeszczyć nasze domy przez wtargnięcie do nich i nazywanie się panem. To my zasiadaliśmy w radzie biskupiej Grzegorza VII i widzieliśmy upadek tyrana Henryka w Canossie. I choć zawsze w sercu ponurych zdarzeń potrafiliśmy też się w porę wycofać. Podobno nawet jakaś odnoga naszego rodu spowinowaciła się później ze wszechmocnymi Medyceuszami i doprowadziła swoich potomków na stolec biskupi. Później ci sami zaczęli kupować sobie kapelusze kardynalskie, a wreszcie nasza boczna linia dowiodła swej jakości przez pontyfikat swoich członków. Nam samym fortuna już tak nie dopisywała, czasy nie należały już do nas, lecz stale mieliśmy złudne poczucie potęgi.

Skąd to nieszcześnie? Nie, nieszcześnie bym tego nie nazwał, choć to był początek końca. Mój ród po raz pierwszy zszedł do podziemia. A oto jak to się stało...

Wszystko zaczęło się w połowie XII wieku wraz z próbami Konrada III Hohenstaufa zdominowania naszego świata. W końcu, oczywiście, nie powiodło mu się, lecz odkrył przedtem przed nami wielki sekret, który niektórzy z nas taili przed sobą. Jego szpiedzy wszędzie szukali poparcia, i to nas zgubiło. Znaleźli bowiem największy skarb Wenecji w pewnym zrujnowanym sądzie, a raczej w jego zalanych piwnicach. Znaleźli relikwiarz....

Relikwiarz miał już do tego czasu swoją historię sięgającą IX wieku, bardzo osobliwą historię odnalezienia go przez pewnego benedyktyńskiego mnicha, który padł, trawiony tą samą osobliwą chorobą, co ja dzisiaj. Ta choroba nosiła wtedy miano Ars Mormendi i dotknęła benedyktyna wraz z żoną i dwójką córek. Istniała także historia pewnego relikwiarza, który zaginął wkrótce po wykonaniu i umieszczeniu w nir doczesnych szczątków świętego Womiusa. Myślę, że powinienem ją tu przytoczyć, choć nie jestem pewny, czy to ten sam relikwiarz.

Wybuch wielkiej epidemii średniowiecznej, jaką był kult świętych, jest bezpośrednio powiązany z tą historią. Każę ona wierzyć, że zaginiony, a właściwie skreślony z kalendarza liturgicznego św. Womius miał żyć w czasach, gdy Wenecja była jeszcze osadą rybacką i nikt nawet nie śnił o handlu na taką skalę, czy w ogóle handlu. Zmienił to rzekomo właśnie ów święty. Podobno był chłopcem niesamowicie bogobojnym i przed jakąkolwiek nauką opanował katechizm. Podobno nim nawet wypowiedział pierwsze słowo. Wszyscy podziwiali go tym bardziej, że owe zacne dzieciątko wcale nie rosło, natomiast wody Wenecji obfitowały w tych dniach w ryby, w sposób wręcz nienaturalny. Poza tym z powodu powodzi niewiemych zmienił się obraz Europy i to Wenecji przypadło zaszczytne miejsce w nowym porządku. Te wszystkie zasługi przypisywano oczywiście dziecku. I mimo braku zgody papieża kult rozszedł się na całe Włochy i jak nic innego wcześniej czy później pogodził skłócone miasta.

Niestety wszystko zmieniło się w roku 1052, gdy dziecko osiągnęło wiek już nieprzyzwoity. Papież Leon IX dawno ogłosił je świętym, nie mając innego wyboru, nawet gościł je u siebie dwukrotnie i dwukrotnie podczas wizyt potwierdził jego świętość. Lecz już po pierwszym spotkaniu; podczas którego zresztą dziecko zemdlło, niby to opromienione wpaniałością postaci świętego męża i swego ojca chrzestnego w nowym chrzcie; zauważono subtelną różnicę tak w wyglądzie, jak zachowaniu dziecka. Wkrótce stwierdzono, że ono się po prostu starzeje. W

kronikach występują także stwierdzenia, jakoby skóra Wormiusa utraciła swój "niebiański blask".

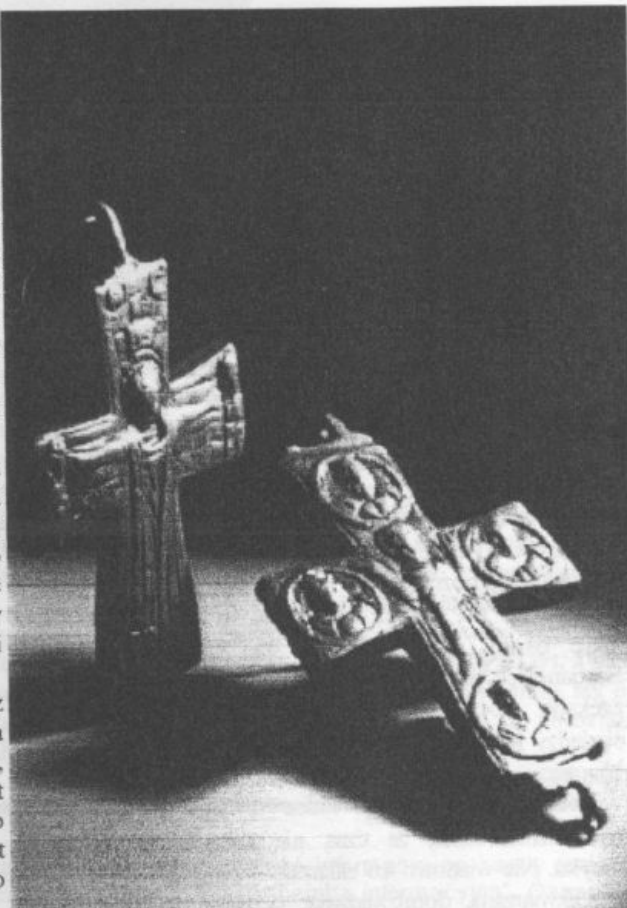
Wtedy także moja rodzina, sprawiająca kuratelę nad dzieckiem od pokoleń, ze względu na swoje znaczenie wśród dziedziców Wenecji po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać nad alternatywą. Otóż w związku z dzieckiem pozostawili oni dawno władzę w rękach uległych im dożów, a sami zarządzili przez dziecko nad masami. Obawiano się także coraz mocniej, że papież zechce adoptować Wormiusa, jak już to wcześniej ogłosił. Wtedy święty byłby dla Wenecji stracony. Choć istniała także możliwość, że w ten sposób papież chciał wyznaczyć następcę, powolnego nie jego woli, jak chciał wierzyć, a Scatianellim.

Oczywiście, gdyby taki fakt odnotowała historiografia, stwierdzono by tam, że była to czysta pogoń za relikwiami. Tak. To jest przewina mojej rodziny. Otóż powodowani niewiadomego pochodzenia ambicjami, postanowili oni zgładzić dziecko, porozcinać je i w ten sposób osiągnąć ów osobliwy skarb na wieki wieków dla siebie i Wenecji.

Lecz stało się coś jeszcze. Otóż papież wysłał w tajemnicy legata, ówczesnego biskupa Hildebranda, a przyszłego papieża Grzegorza, ponieważ nie zawierał mojemu rodowi. Ów legat miał zbadać tajemnicze pochodzenie dziecka, o którym milczeli jego opiekunowie, twierdząc, że jest synem dziewicy z ich rodu, która zamieniła się po porodzie w czyste światło.

Na miejscu jednakże dowiedział się, że jest ono znajdują, którą odkryto w zamurowanej części pierwszej chrześcijańskiej piwnicy cementowej. Tam też powędrował. Spędził tam rzekomo dwa dni całkiem sam, czy jak utrzymywał w towarzystwie nieludzkich plugastw z cienia, żywiących się ludzkim mięsem i żyjących częściowo pod wodą, które właśnie szykowały się, aby odbić malca, stwierdziwszy, że już nie jest bezpieczny.

Wiedziały one więcej niż legat i opowiedziały mu o planach Scatianellich, a także o tym, że dziecko naprawdę nie jest człowiekiem, lecz awatarem ich boga, który wcielił się w nie, aby pogodzić ich rasę z ludzką. Nie sposób w tak krótkim streszczeniu oddać pełną dozę odrazy, jaką czuł legat, do tych na wpół tylko żyjących stworzeń. Były one według jego opisu plugawe i bezbożne. Miały postać tylko na wpółkształtowaną z masy takiej, jaką znają biologowie, a i ta nawet połowa była gnijącym trupem. Nie posiadając twarzy nosili kamawałowe maski, wykradzione lepiej nie przypuszczać w jaki sposób. Smród bijący od nich był ostry, jak saletra, choć niedokładnie tak to opisuje legat. Nie posługiwały się wprawnie włoskim, a i ich głosy przypominały raczej stęk i syk gruzlika. Zamiast chodzić raczej powłóczyły nogami, czy raczej zaopatrzonymi w długie przyssawki sztywnymi mackami.



Tej nocy razem z nimi wyszedł na ulice Wenecji, kierując się do pałacu Scatianellich. Niestety, pod żadnym pozorem nie chciał nikomu powiedzieć, co za okropieństwa go tam spotkały. Tylko papież dowiedział się, co się stało po tym, jak przybrał jeden z czerwonych płaszczy z Florenckiej satyny i okazjonalną maskę, podszywając się, nie wiadomo: z ich wiedzą czy bez niej, pod jedną z tych istot.

Natomiast kroniki wspominają o tajemniczym korowodzie, który tej nocy właśnie pojawił się po raz pierwszy. Tłum wyległ na ulicę bez świateł, czy pochodni i skierował różnymi krętymi drogami ku pałacykowi. Podobno dziecka jednak nie udało się ocalić.

Po usłyszeniu tego i jeszcze wielu innych faktów, o których nie wiemy, papież postanowił wykląć dziecko, a co do rodziny S. zarządził póki co areszt domowy. Oczywiście doża został za tą zdradę nagrodzony specjalną bullą, stwierdzającą, że "grać mu będą u wejścia do niebios chóry anielskie". W rzeczywistości chodziło o zgładzenie wszystkich Scatianellich. Szczęśliwie brevia nie dopłynęły w porę, a wysłannik, który miał je pierwotnie przekazać nie dopłynął wcale. Mój ród przetrwał, lecz wydarzyło się mu coś osobliwego po spotkaniu z "tamnymi". Odtąd mówiono o "korowodzie", dziwnych przebierańcach, którzy wyprawiają najwymyślniejsze orgie, przemieniając miejsce dokąd przybędą w piekło rozkoszy. Ubrani w najwymyślniejsze

kostiumy i maski ze złota imitujące okropne twarze, czy zwierzęce pyski i dzioby nie są już ludźmi, a tylko kukłami spełniającymi swoje najobrzydliwsze zachcianki. Scatianelli powrócili do Wenecji wraz z pontyfikatem Grzegorza VII, który znany był w swojej polityce z prowadzenia podwójnej gry. Grzegorz nie zdjął kławy, ale równocześnie cofnął decyzje poprzednika, wyklinając S. jako schizmatyków i heretyków. Podobno istnieją listy, potwierdzające, że chciał on zdobyć relikwie, ale Scatianellowie utrudniali mu wszelkie działania. Gdy papież okazał się zbyt nieustępliwy, po prostu zwrócili się do Henryka IV o ogłoszenie detronizacji papieża. Był rok 1079, Henryk po pokucie w Canossie i zdjęciu kławy mógł wymordować opozycję. Znow miał jedyną władzę w świecie. Grzegorz przestał się liczyć niespełna rok później.

Co do resztek dziecięcia, to rzekomo te same osoby, odpowiedzialne za zawiadomienie Scatianellich, ukryły je w wiadomym miejscu. Tam czekały, pocięte w licznych relikwiarzach, aż szpiedzy Konrada III uprowadzili je w tajemnicy do Niemiec. Konrad początkowo chciał je wykorzystać w swojej walce o władzę, lecz ostatecznie uznał, że czas nie sprzyja takiemu ryzyku. Nie wiadomo co zakazało mu się rozstawać z relikwiarzami, doprowadzając do tego, że zabrał je do Ziemi Świętej, gdzie część z nich postradał. To zresztą poprzedzało wyznanie przed Ludwikiem VII o ich istnieniu i konflikt tych dwóch władców. Na prośbę Ludwika Bernard z Clermont wykradł relikwiarze. Nie udało mu się zabrać wszystkich. Podobno myśli obu władców na łożu śmierci dotknęły tego samego tematu, w którym zresztą upatrywali przyczynę niepowodzeń krucjaty. Lecz żaden z nich za życia nie ośmielił się mówić o tym otwarcie. Wormius nadal pozostawał wyklęty, a jego ciało uznawano za wytwór diabła. Władcy odczuwali piętno decyzji Leona IX...

Po śmierci Ludwika Bernard w tajemnicy posłał część relikwii, które posiadał do Templum, kapituły generalnej stworzonych przez niego templariuszy, część zamurował w miejscu kamienia węgielnego jednej z licznych świątyń cystersów we Francji przez co po latach uchodziły za relikwie innego świętego, które kazał wyrzucić, a główkę podobno zabrał do grobu.

Cały czas, pod pozorem szukania uciech i robienia przedstawień, mój ród był na tropie relikwii. Byli blisko, jak wcześniej po wymordowaniu biskupów, dzięki jakiejś plugawej szuce pantomimy, zdołali zdominować Grzegorza VII, udało im się wiele lat później jako trupa teatralna wkraść w łaski Ludwika Pięknego, którego obrócili przeciw templariuszom Zresztą

będąc w długach uśmiechnął się tylko do pomysłu kasacji zakonu rycerzy pod zarzutem herezji. Prawdę mówiąc zarzutem nie do końca wysypanym z palca.

W tym czasie niektórzy templariusze, wśród nich cysterski kapelan zakonny Pierre Saurmand byli przerażeni nie mniej niż oskarżeni de Momay i inni, lecz z trochę innej przyczyny. Saurmand nadzorował odkucie celi, gdzie przechowywano do tej pory relikwie. Momay czuł zbliżający się koniec i chciał przenieść je w bezpieczne schronienie gdzieś we Francji. A tymczasem rączka i nóżka Wormiusa mimo rozczłonkowania miały wygląd męskich, podczas gdy zamurowano je w Templum jako chłopięce. Początkowo posądzano niektórych z braci o zdradę, lecz gdy obserwacje dłoni dowiodły zmian nawet z dnia na dzień, w zakonie zapanowało przerażenie. Wkrótce wiedzieli o tym wszyscy. Tymczasem około roku 1380 już nie mówi się o relikwiiach św. Wormiusa, jakby nagle wszyscy pospołu o nich zapomnieli... W tym czasie inny Wormius, Olaus Wormius - franciszkański mnich, zostaje spalony na stosie wraz ze swoim łacińskim przekładem "al Azif", księgi umarłych szalonego Araba Abd al Azreda.

I tu przechodzimy do sedna. Otóż moje studia od początku finansował zamożny wuj, którego interesowała sprawa relikwii, w szczególności tych wyżej wspomnianych. Był umierający, pocisk podczas II Wojny Światowej uszkodził lewe płuco i doprowadził do amputacji nogi i ręki. Olbrzymie odszkodowanie nie zwróciło mu zdrowia, bowiem teraz, po latach, pocisk zabijał go nadal.

Tylko że to wyszana z palca bujda. Przestałem mu wierzyć gdy odkryłem prawdę o jego podróżach na bliski wschód i rodzinie w Wenecji. Później odkryłem, że finansował, obok moich historycznych studiów, liczne wyprawy archeologiczne w pozomie przypadkowe miejsca. Powiązanie jego kalectwa i faktu, że za żadne skarby nie można było stwierdzić, w oparciu o podane przez niego daty, że uczestniczył w wojnie, dało mi do myślenia. Cała ta wiedza przyszła jednak za późno. Tak jak wyjaśnienie ojca, do którego odezwałem się dopiero na jego łożu śmierci, poróżniony właściwie z całą rodziną o jakieś ważkie sprawy, a w ich mniemaniu naprawdę o osobę mego tajemniczego opiekuna. Otóż ojciec nie miał brata...

Postanowiłem zwać, lecz po kilku miesiącach po tym, jak zaczęły znikać pieniądze odziedziczone po ojcu postanowiłem sprawdzić, czy "wujaszek" nie jest po prostu ekscentrycznym starszym panem, lubiącym pofantazjować. Zacząłem w tym celu



wędrować tropem jego poczyni. Wykorzystałem przy tym wszelkie kontakty, jakie dawał mi nieukończony doktorat z mediewistyki. I co odkryłem? Przez rok wypytywałem członków archeologicznych wypraw nawet sprzed kilkunastu lat, odwiedzałem czasem już zakopane i zapomniane miejsca wykopalisk, piłem mnóstwo wina i doświadczałem prawdy. Clermont, Boulin, Bordoux to tylko niektóre z miejsc, które odwiedziłem. O innych, do których siłą rzeczy nie mogłem pojechać przeczytałem w pismach naukowych. Wiem, dlaczego Akka była tak zaciekle broniona z jednej, a atakowana z drugiej strony. Jakie plany miał Karol Andegaweński... Otóż wszystko, co było znajdowane przez łopaty archeologów i pochodziło ze średniowiecza, szybko zniknęło. Poza tym (co wiedziałem ja, a czego nie mogli wiedzieć oni, bowiem nikt ze składu zespołów badawczych już się nie powtarzał)

wszystko to były relikwiarze, bardzo bogato rzeźbione i ze względu na ogromne ilości złota prawie bezcenne. Datowano je na różne epoki i miejsca wykonania, zawierały szczątki różnych świętych. Lecz gdyby je poskładać razem do kupy, brakowałyby nogi i ręki, które z tego co wiem spłonęły razem z Momeyem...

Znaleziono mnie w końcu. Pobitego, zakneblowanego, związanego i z zawiązanymi oczami wrzucono mnie na tył jakiegoś lśniąco czarnego, długiego auta. Nie wiem gdzie obecnie się znajduję. Przypuszczam, że zamurowano mnie jak żywą relikwię w jakimś prowincjonalnym francuskim kościółku. Nocą nasłuchuję nieludzkich odgłosów. Wkrótce umrę, a on wtedy wejdzie tu i po przeczytaniu tych słów spali mój zeszyt, a mnie wraz z nim. Popioły rozda czterem wiatrom, tak by ślad po mnie nie pozostał...

Jarosław Klonowski

### Z sieci wzięte

Internet to wspaniały wynalazek. Podobno można w nim znaleźć informacje na każdy temat. To prawda, tam naprawdę jest wszystko lecz czyni to Internet kipiącą „bombą informacyjną”. Oznacza to, że w natłoku tego całego mnóstwa danych często trudno znaleźć te, które nas właśnie interesują. Dlatego wpadłem na pomysł stworzenia swoistego przewodnika po sieci, poradnika, który może pomóc odrzucić strony, które niekoniecznie są wartościowe, a wskazać na te godne uwagi. Z wiadomych względów ograniczam się do portali związanych z historią.

[www.historia.pl](http://www.historia.pl) to strona będąca wspólnym przedsięwzięciem studentów i absolwentów Instytutu Historii Uniwersytetu Warszawskiego. Serwis ten jest według mnie dobrze i rzetelnie przygotowany. Na szczególną uwagę zasługuje dział linków – czyli odnośników do innych stron. Może być on drogą do dalszego surfowania po sieci w poszukiwaniu informacji związanych z historią. Linków jest tam bardzo dużo, ale na szczęście autorzy strony wprowadzili ich przejrzysty podział. W zależności od swoich życzeń internauci mogą wybrać sobie odpowiednie indeksy: przedmiotowy, tematyczny, chronologiczny, a nawet geograficzny.

Dodatkowo [www.historia.pl](http://www.historia.pl) zawiera Vademecum oraz Słownik terminów historycznych. Pod względem merytorycznym jest to dobrze przygotowane, ale zaznaczyć muszę, że niestety w tej części strony autorom pozostaje jeszcze wiele do zrobienia. Przykładowo w Słowniku pod literą „M” znajduje się tylko jedno hasło. Mianowicie Mieszko I. Moim zdaniem to zdecydowanie za mało.

Na niekłamane pochwały zasługuje za to część poświęcona chronologii. Póki co obejmuje ona tylko okres panowania Piastów w Polsce oraz wrzesień 1939 r., jednakże całość wykonana jest perfekcyjnie i dokładnie. Interesujące jest także Kalendarium w którym znajdziemy wzmianki nt. wydarzeń niekoniecznie ważnych i przełomowych, ale zawsze bardzo ciekawych.

Serwis zawiera także artykuły studentów i pracowników UW. Warto je przeczytać choćby ze względu na tematykę. Niech tytuł jednego z tekstów powie sam za siebie: *Życie seksualne studentów warszawskich na przełomie XIX i XX wieku*. Oczywiście jest tego tam znacznie więcej i wszystko jest bardzo interesujące jednakże administratorzy serwisu powinni zwrócić uwagę na to, że część artykułów po prostu się nie otwiera. Miejmy nadzieję, że problem ten zostanie wkrótce rozwiązany.

Najciekawszą częścią [www.historia.pl](http://www.historia.pl) jest Forum. Zawiera ono polemiki, często bardzo zajadłe, na mnóstwo związanych z historią kwestii. Poziom dyskusji jest wysoki, wypowiadający się internauci orientują się w podejmowanych tematach. Często zadziwiają stopniem obeznania zagadnień. Z Forum dowiedziałem się np., że w 1933 r. Józef Piłsudski planował prewencyjne uderzenie na Niemcy. Oczywiście w każdej chwili każdy może włączyć się do rozmów prowadzonych na Forum.

Mimo pewnych niedociągnięć [www.historia.pl](http://www.historia.pl) to dobra strona internetowa. Każdy miłośnik historii znajdzie na niej coś ciekawego. Polecam.

## PODNIEBNI SAMURAJE - KAMIKADZE

Jak wspomniałem wyżej, pomysł utworzenia Korpusu Specjalnego Kamikadze powstał po bitwie o Mariannę (19-20 czerwca 1944 r.), kiedy ataki japońskich samolotów na flotę amerykańską skończyły się dla Japończyków klęską. Następnym razem każdy samolot który doleci do amerykańskich okrętów miał trafić w cel. Pierwszą eskadrę utworzono 19 października 1944 r. i już sześć dni później (25 października) 25 pilotów z 201 grupy lotniczej poleciało do pierwszego ataku. Prowadził ich pułkownik Seki. W całej historii operacji przeprowadzonych przez kamikadze ten dzień był najbardziej zwycięski. Zniszczono wtedy najwięcej okrętów amerykańskich.

Podczas walk o Filipiny zginęło 421 kamikadze, natomiast w bojach o Okinawę 1465. Łącznie od 25 października 1944 do 15 sierpnia 1945 utraciło życie w różnych okolicznościach blisko 5 tysięcy pilotów, dwie trzecie z nich należało do marynarki wojennej. Ta samobójcza broń wymierzona była głównie przeciwko amerykańskim lotniskowcom. Wykonanie tego zadania okazało się bardzo trudne, wręcz nieosiągalne ze względu na silną obronę przeciwlotniczą Amerykanów i ich samoloty myśliwskie.

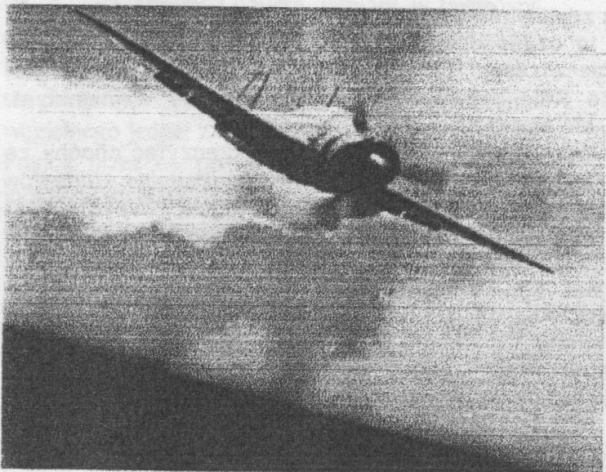
### Inicjatywa :

Japoński wiceadmirał Onishi był inicjatorem sformowania oddziałów kamikadze. Przełożeni uważali go za osobę arogancką i bezwzględną. Nieliczne zdjęcia ukazują potężnego mężczyznę o łagodnym wyglądzie. Z pewnością nie przypomina on beznamiętnych, groźnie wyglądających oficerów japońskich, którzy spoglądają na nas z większości fotografii owego czasu. Przyjazny wygląd Onishi nie daje pojęcia o surowości tego człowieka, który wymagał wiele od innych, a jeszcze więcej od siebie. Wspominano jego dynamiczną energię i odwagę graniczącą z brawurą. Pod prawie każdym względem był on idealnym przywódcą.

Z powodu swojej otwartości, graniczącej niekiedy z brakiem taktu, Onishi, chociaż uważany za jednego z najwybitniejszych japońskich oficerów w lotnictwie marynarki wojennej, nie był popularny wśród członków rządu i najwyższego dowództwa. Jego podwładni, zwłaszcza młodzi piloci, darzyli Onishiego dużą sympatią. On sam nazywał ich "skarbem narodu".

19 października 1944 wiceadmirał Onishi zgromadził grupę młodych pilotów, proponując im świadome i dobrowolne poświęcenie się dla ojczyzny. Uzasadniał, że braki materiałowe uniemożliwiają Japonii odniesienie zwycięstwa nad wrogiem. Jego zdaniem wąż siły lotnicze mogą jednak przyczynić się do tego, jeżeli będą użyte z maksymalną skutecznością. Zaproponował stworzenie specjalnych eskadr samolotów myśliwskich, które wyposażone w 250-kilogramowe bomby miałyby spadać na okręty nieprzyjaciela. Propozycja wiceadmirała Onishi przyjęta została przez pilotów ze spokojem i zrozumieniem. Przekonani zostali, że ta metoda walki daje nadzieję na zwycięstwo. Pierwsze oddziały samobójcze powstały w bazie Mabalacat na Filipinach. Utworzono cztery jednostki bojowe, które otrzymały nazwy: Shikishima, Yamato, Asashi i Yamazakura. Shikishima to poetycka nazwa dawnej Japonii, Yamato określa starożytną Japonię, jak również symbolizuje siłę ducha narodowego, Asashi oznacza wschodzące słońce, a Yamazakura jest określeniem dziko rosnącej w górach wiśni.

W przemówieniu wygłoszonym kilka miesięcy później do członków jednostki kamikadze na Tajwanie Onishi oświadczył: "Nawet, jeśli zostaniemy pobici, szlachetny duch oddziałów kamikadze uchroni naszą ojczyznę przed upadkiem. Bez tego ducha ruina byłaby z pewnością następstwem klęski..."



One of war's most spectacular Kamikaze shots shows Jap Judy about to crash into U.S.S. Essex, its only damage of war. By Lt. Cdr. E. Colgrace

Studenckie Koło Historyków  
Akademii Bydgoskiej



### Kim byli?

Samotny pilot kamikadze, zamknięty w swym samolocie-bombie i atakujący przeważające siły wroga, to nie wymysł dwudziestowieczny. W rzeczywistości stanowi to element japońskiej tradycji, według której otoczony zewsząd bohater, będąc w pełni świadom słabości fizycznej, jest podtrzymywany na duchu przez uczucie wiary, pomimo pozornej beznadziejności swej sprawy powinien walczyć do końca, tylko wtedy działa słusznie i zgodnie z honorem. Z własnej woli przyjął wypełnienie zadania "leżącego poza granicami ludzkiej mocy", zadania które zdrowy rozsądek mógłby osądzić jako szaleństwo.

Najbardziej niezwykły jest młody wiek pilotów. Niewielu z nich przekroczyło 26 rok życia, a zdarzali się i piloci poniżej 20 lat. Typowy kamikadze był zazwyczaj studentem uniwersytetu, którego powołano do wojska i który przyłączył się do jednostek specjalnych. Jest rzeczą znamienną, że większość z nich stanowili studenci nauk humanistycznych i prawa. Zawodowi wojskowi czuli niejednokrotnie odrazę do kandydatów na pilotów kamikadze. Starsi, odczuwali obawę, że ci pozbawieni wojskowej postawy młodzi i niedoświadczeni eks-studenci, mogą zostać wkrótce oficerami i bohaterami, a może nawet zagrozić ich pozycji.

Piloci kamikadze nie przypominali fanatyków. Z dostępnych źródeł: wspomnień, listów i fotografii, wydaje się, że typowy kamikadze był człowiekiem spokojnym, poważnym i nieprzeciętnym zarówno jeśli chodzi o kulturę, jak i wrażliwość. W latach powojennych przeprowadzono ankietę wśród rodzin takich pilotów. Badanie te wykazały, że prawie w każdym przypadku kamikadze był najlepszym synem, najbardziej przywiązany, najlepiej wykształconym i najspokojniejszym.

Jedną z przyczyn dobrowolnego godzenia się młodych ludzi na samobójczą śmierć był fakt, że pod koniec 1944 roku szanse wyjścia cało z konwencjonalnego ataku lotniczego na okręty amerykańskie były równe zeru. Mogli więc sprzedać swe życie najdrożej, przyjmując (jak się wydawało) najbardziej skuteczną taktykę działania - każdy samolot który przedrze się przez zaporę myśliwców i ścianę ognia dział przeciwlotniczych musiał trafić. Przykładów nie brakowało. Podobnych ataków dokonali już kapitan Tomonaga w bitwie o Midway, czy komandor podporucznik Murata o

Santa Cruz. Nie wydaje się też, by w psychice pilotów kamikadze dominowała chęć zemsty za zmarłych lub nienawiść do wroga, wielu z nich chciało odejść w rippa nashi (wspaniałej śmierci).

### Szkolenie :

Wszystko, co dotyczyło szkolenia było okryte szczególną tajemnicą. Z przestrzeganiem jej nie było specjalnych kłopotów, ponieważ wszyscy kamikadze, którzy startowali do ostatniego lotu ginęli bezpowrotnie. Ci co przeżyli tak to opisują:

"W grupie było nas pięćdziesięciu, gotowych w każdej chwili umrzeć za cesarza. Życie nasze w ostatnich tygodniach przed startem nie było piękne ani przyjemne. Przeciwnie, stworzono nam takie warunki, w których marzyliśmy o śmierci. Metody szkolenia były surowe, a nawet, powiedziałbym okrutne. Każdy instruktor szkolił tylko pięciu uczniów. Za najmniejsze przeoczenie, najmniejszy błąd popełniony w czasie lotu, karano uderzeniami biczem. Za poważniejszy błąd stawiano na bacność i bito pięścią w twarz. Gdy ktoś z nas upadł, polewano go wodą z wiadra. Biada temu, który nie podniósł się w porę, bili go wówczas jeszcze mocniej. Ale wszystko to było drobnostką w porównaniu z karą zwaną samolotem. Człowiek, stojąc na palcach z rozłożonymi rękami i wyciągniętą do przodu głową, musiał naśladować lot samolotu. Padaliśmy ze zmęczenia. Wtedy bito nas i kazano stać nadal. A mimo to nie przestaliśmy wierzyć, że zaszczyt oddania życia za cesarza wart jest jeszcze większego poświęcenia...

... gdy przychodziła kolej na następną grupę, wieczorem w przeddzień śmiertelnego lotu nazwiska ich wyczytywano przed frontem oddziału. Wyczytani spożywali kolację wspólnie z dowódcami, a następnie szli pisać testament. Złotymi nożycami ucinali sobie pęk włosów, obcinali paznokcie i wszystko to, wraz z napisanym testamentem, wkładali do koperty i starannie zaklejali. O świcie nakładano im na głowę opaskę ozdobioną flagą japońską i przypinano miecz samurajski. Nigdy nie zauważyłem, aby którykolwiek z nich nie promieniał ze szczęścia...

...byłem w grupie samobójców latających na małym samolocie-torpedzie Baka. Te latające torpedy podwieszano pod bombowcami-nosicielami i odczepiano w odległości 12-20 kilometrów od upatrzonego celu. Od tego momentu pilot był już skazany na

śmierć, samolot nie miał bowiem podwozia, ani pływaków. Tak więc pilot, nawet gdyby chciał, nie mógł zmienić swej decyzji. W momencie oddzielenia się torpedy od nosiciela, zapalnik torpedy odbezpieczał się. Gwarantowało to jej wybuch bezpośrednio po zderzeniu się z okrętem lub z wodą..."



#### Ostatni lot:

Przed udaniem się na spoczynek, piloci zbierali swoje rzeczy osobiste, które nie były im już potrzebne podczas lotu i zostawiali je przyjaciółom, pozostającym w obozie. Przez ostatnią noc większość z nich spała spokojnie. Wstawali wkrótce po wschodzie słońca, myli się dokładnie i nakładali po raz ostatni mundury. Następowła krótka ceremonia pożegnalna. Długie stoły nakryte białym płótnem zastawiano butelkami zimnej sake i wyszukanyimi, tradycyjnymi daniami japońskimi. Oficer dowodzący jednostką napełniał ceremonialne czarki dla każdego z pilotów. Podwładni brali je do ręki z szacunkiem.

Typowa formacja eskadry samobójczej składała się z pięciu samolotów - 3 samobójczych i 2 myśliwców eskorty. Z chwilą zbliżenia się do celu atakujący zrzucali paski folii aluminiowej, aby osłabić wrogie radary, następnie włączali mechanizmy uruchamiające zapalniki bomb. Kiedy okręty były wyraźnie widoczne pilot prowadzący dawał sygnał do ataku. Każdy z pilotów sam wybierał dla siebie cel. Sterując z możliwie największą precyzją kamikadze starał się trafić w najważniejszą część okrętu. Dla tych którzy wybrali na cel lotniskowiec taką częścią był pokład lotniczy, ale rzadko się zdarzało aby pilot tam doleciał.

#### List kamikadze:

Zanim po raz ostatni zasiedli za sterami samolotów pisali listy pożegnalne do swych najbliższych. Wyrażali w nich ślepy fanatyzm,

jakiego uczono ich od kolebki i chęć poświęcenia się dla cesarza.

"Obudziłem się dziś wcześnie, o godzinie piętej. Obyłem poranne ćwiczenia rozebrany do pasa. Czuję się dobrze. Teraz należy tylko umieścić ten arkusz papieru w małym pudełku, które zawiera zwykle popioły zmarłych. Chciałem przesłać Ci obcinki swoich paznokci i kilka kosmyków włosów, ale obciąłem włosy wczoraj, a moje paznokcie są za krótkie. Przykro mi, ale już za późno, a przecież ani włosy ani paznokcie nie odrosną w ciągu jednej nocy.

Nie chce mieć grobu. Czuję się ściśnięty, gdyby położono mnie w wąskim dole. Włóczęga, jak ja, nie potrzebuje grobu. Czy powiesz o tym moim rodzicom? Nie płacz tylko dlatego, że mam umrzeć, uczyniłbym wszystko co w mojej mocy, aby pocieszyć tych którzy pozostaną. Próbowałbym, być dzielny.

11.30 przed południem - ostatni ranek. Zjem teraz śniadanie, po czym udam się na lotnisko. Ponieważ ostatnia odprawa przed lotem zajmie mi trochę czasu, nie mam go już na dalsze pisanie. Tak więc Cię żegnam. Wybacz nieczytelny list i urywane zdania. Pozostań w dobrym zdrowiu. Wierzę w zwycięstwo Wielkiej Azji. Modłę się o szczęście dla was wszystkich i błagam was o przebaczenie za mój brak szacunku.

Wyruszę do ataku z uśmiechem na twarzy. Księżyc będzie dzisiejszej nocy w pełni. Kiedy znajdę się nad otwartym morzem, gdzieś u brzegów Okinawy, wybiorę nieprzyjacielski okręt, który stanie się moim celem. Pokażę, że wiem jak należy dzielnie umierać."

#### Atak kamikadze

Jak wyglądał atak kamikadze? Oto relacja Jamesa Faheya, marynarza-artyleryzisty, służącego na pokładzie krążownika "Montpelier" z okresu walk o Filipiny:

"Na pewno pierwszy raz w historii wojen zastosowano ten sposób. Samoloty japońskie nadlatywały ze wszystkich kierunków. Przed atakiem nie wiedzieliśmy, że są to samoloty samobójcze, nie mające zamiaru powrócić do baz. Ich cel był tylko jeden - runąć na nasze okręty z bombami. Trzeba je bezwzględnie rozwalić, uszkodzenie takiego samolotu nie miało większego znaczenia. Zaraz na początku jeden samolot japoński wykonał atak samobójczy na krążownik "St. Louis"; nastąpił wielki wybuch i widać było płomienie w niedużej odległości od rufy. Inny próbował

zrobić to samo, lecz zestrzelono go. Japoński samolot zaatakował pancernik, strzelając z broni pokładowej. Inny otarł się o jeden z okrętów, zrzucił bomby na drugi i spadł na trzeci. Samoloty japońskie spadały wokół nas. Powietrze było pełne pocisków z japońskich karabinów maszynowych, spadały samoloty i bomby...

... Zestrzeliliśmy swoją porcję samolotów, lecz oto zwały się na nas trzy samoloty samobójcze; na szczęście rzuciły bomby zanim się z nami zderzyły. Tymczasem samoloty eksplodujące nad nami zasypywały nas swoimi szczątkami. Wyglądało to jak deszcz części samolotowych. Spadały na cały okręt... Jeden kamikadze skierował się prosto na nas, podczas gdy strzelaliśmy do innych atakujących samolotów i gdyby obsługa dział 40 mm na lewej burcie nie odstrzeliła Japończykowi skrzydła, zabiłby nas wszystkich. Kiedy mu skrzydło odleciało, samolotem szarpnęło i zwałił się w wodę, a wybuch rzucił jego szczątki na nasz okręt. Inny kamikadze uderzył w jedno ze stanowisk podwójnych dział 5-calowych, wgniatając ścianę osłony i raniąc kilku ludzi...

... Japoński bombowiec nurkujący uderzył w jedną z platform 40-milimetrówek, lecz na szczęście dla obsługi rzucił przedtem bombę na inny okręt. Odłamki tego samolotu latały wszędzie, a część silnika trafiła Tomlinsona - miał potem odłamki w całym ciele: w brzuchu, plecach, nogach. Także reszta obsługi odniosła rany, większość została obłana benzyną z samolotu. Tomlinsona rzuciło na dużą odległość i najpierw koledzy myśleli, że wyleciał za burtę... Jeden z oficerów artylerii miał przecięte druty słuchawek telefonicznych, ale mówił dalej przez telefon, aż mu jeden z chłopaków powiedział, że odłamek przeciął kable. Eksplozje były przerażające, gdy samobójcze samoloty rozrywały się w wodzie niedaleko od naszego okrętu. Wodę pokrywał czarny dym, który wzbijał się w wysoko w powietrze. Wyglądało tak, jakby woda się paliła. Byłby z nami koniec, gdyby runęły na nas... Wszystkie działa na

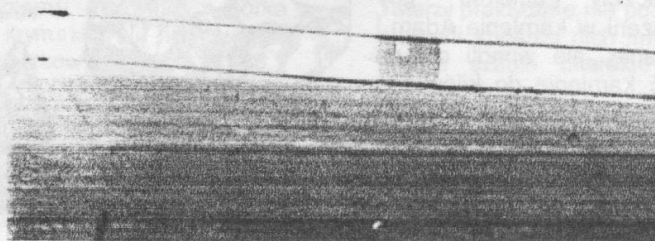
okręcie były bez przerwy, nie mieliśmy chwili wytchnienia... Gdy trochę przycichło, ludzie zaczęli się rozglądać za... pamiątkami po Japończykach, nie patrząc zresztą jakie to są pamiątki. Pokład mojego pomostu pokryty był krwią i szczątkami ciał japońskich lotników. Musieli włączyć hydrant, żeby zmyć krew z pokładu. Pokład był cały czerwony... Tu i tam marynarze znajdowali szczątki japońskich pilotów. Jeden marynarz triumfalnie odciął palec od ręki i zdjął niego pierścionek..."

### **Śmierć wiceadmirała Onishi**

Ze strategicznego punktu widzenia operacje kamikadze były niepowodzeniem. Do czasu zakończenia wojny w samobójczych akcjach na okręty amerykańskie zginęło ponad 5000 pilotów. Mimo ogromnego zaangażowania sił ludzkich udało im się zniszczyć zaledwie 3 większe okręty amerykańskie. Wiceadmirał Onishi do samego końca wojny był przeciwny kapitulacji sił japońskich, jednak nie znalazł poparcia. 15 sierpnia, o trzeciej nad ranem, udał się do swego gabinetu i tam popełnił harakiri. Śmierć nie przychodziła jednak szybko. Na krótko przed świtem jeden z urzędników zauważył, że w gabinecie pali się światło. Otworzył drzwi i zobaczył Onishiego leżącego w strugach krwi. Mimo strasznych ran admirał był przytomny i kategorycznie odmówił pomocy lekarskiej, nie zgodził się także na zadanie mu "ciosu łaski". Zmarł dopiero około godziny 18. Jak później powiedział o nim kapitan Inoguchi: "Byłoby nierozsądnie sądzić, że ten ostatni akt był rodzajem pokuty. Sądzę, że jego życie poświęcone było idei kamikadze od momentu jej powstania."

Japońscy wojskowi byli przekonani, że Amerykanie przestraszą się kamikadze. Tymczasem efekt psychologiczny nie wpłynął ujemnie na morale żołnierza amerykańskiego. Osiągnięcia kamikadze, na które tak bardzo liczyli Japończycy, okazały się małe w porównaniu do strat jakie przyszło im ponieść.

Łukasz Pacholski



### Ewolucja z rewolucji czyli historia kamieniem się toczy

W tym momencie mogłaby się skończyć ta historia. Świat istniałby bez małpoludów, nawet nie zauważając ich braku, lecz pewnego dnia, nikt nie wie dlaczego i pewnie nigdy się tego nie dowiemy, jedna z małp wzięła do ręki kamień i powodowana nagłym impulsem zaczęła nim okładać pierwszą z brzegu świnie. Niezdarne było to pierwsze użycie broni lecz wystarczyło by na kilka chwil ogłuszyć czy raczej kompletnie zaskoczyć i zdezorientować ogłupiałą tą nową sytuacją świnie. Inne małpoludy widząc to zajęcie również chwyciły kamienie i krzyżąc w dzikim szale dołączyły do ataku. Świnia padła, jej ciało zostało kompletnie zmasakrowane. Małpoludy skończyły je tłuc, znudziło je to, przez chwilę popatrzyły na swoje dzieło i nie rozumiejąc go wyrzuciły kamienie i poszły dalej. Tylko inicjator tego zdarzenia, nazwijmy go roboczo Adam, w nagłym przypływie geniuszu, a może tylko przypadku, polizał okrwawiony kamień. Krew świni była ciepła i... smaczna. Chwilę później okazało się, że mięso też jest niczego sobie. Małpy z oddalającego się stada widząc pochylonego nad świńskim trupem pobratymca, poczęły go nawoływać lecz on zajęty jedzeniem nie reagował, więc poszły dalej, bo były głodne i ciągle szukały pokarmu. Tylko jedna z samic, której Adam swym niekonwencjonalnym występem wyraźnie zaimponował odłączyła się od stada i zaczęła razem z Adamem jeść świnie. Myślę, że dla ułatwienia mogę tę samicę nazwać Ewą.

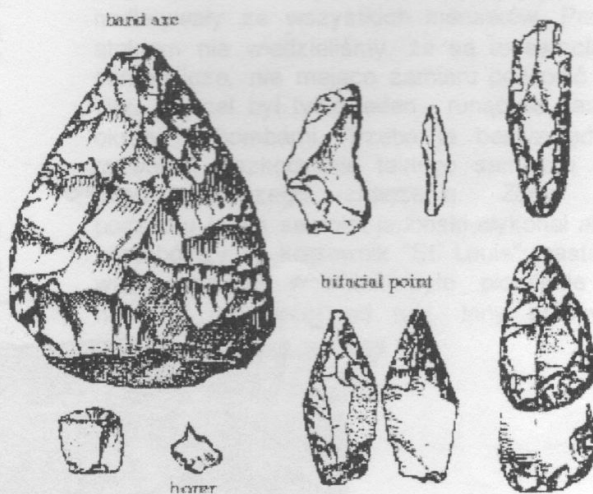
Adam i Ewa najedli się. Chwilę później po raz pierwszy w życiu poczuli się szczęśliwi. Oboje doświadczyli zupełnie nowego uczucia, do tej pory tak obcego – byli syci. Pragnęli podzielić się tym z resztą stada lecz było ono wtedy już daleko od nich. Zostali sami, mieli tylko siebie i nowo nabytą umiejętność posługiwania się kamieniem. Odtąd ich życie wyglądało inaczej. Nie byli już głodni. Dzięki temu przestali być małpoludami, a zaczęli być ludźmi. Nie czując głodu mogli myśleć o czymś innym niż tylko o jedzeniu. Sądzę, że początkowo te nowe, obce myśli ich przerażały, ale równocześnie też fascynowały. Zaczęli marzyć. Być może patrząc nocami na Księżyc pragnęli kiedyś na nim stanąć, rzeczywiście, teraz był do niego tylko mały krok...

Zwierzęta zaczęły uciekać gdy zauważyły, że wyposażeni w kamienie Adam i Ewa stanowią zagrożenie, ale wpadli oni na pomysł by przywiązać kamienie do kijów i w ten sposób zwiększyć zasięg ramienia. Potem stwierdzili, że równie dobrze mogą rzucać w zwierzynę samymi zaostrzonymi kijami. Jedzenia mieli coraz więcej i żyło im się co raz lepiej.

Pewnego dnia spotkali swoje dawne stado i zaczęli mu opowiadać o swoim szczęściu, lecz małpoludy nie mogły już zrozumieć człowieka. Przestraszone uciekły skazując się w ten sposób na zagładę. Adam i Ewa żyli dalej. Mieli też dzieci, a ich dzieci miały swoje dzieci, i tak dalej, i tak dalej. Praprawnuki pierwszych ludzi wymyśliły łuk, opanowały ogień, itd. Ludzie ciągle wpadali na nowe genialne pomysły. Każdy kolejny dawał im więcej jedzenia, a więcej jedzenia oznaczało więcej ludzi, którzy mogli tworzyć nowe rzeczy. W ten sposób powstał samonapędzający się mechanizm, który działa do dziś.

Kolejnym przełomem było wymyślenie rolnictwa. Pozwalało to osiedlić się i nie tracić czasu na uganianie się za łupem, zresztą dawało też na tyle duże nadwyżki pożywienia, że mogła powstać klasa ludzi, których karmiono tylko po to by wymyślali następne wynalazki. Byli to pierwsi, jeszcze pseudo, naukowcy. Bardzo szybko powstało pismo, niezbędne do inwentaryzacji plodów rolnych. Jeszcze szybciej filozofia, religia i historia... Ludzi było coraz więcej a ich ambicje stale rosły. Mgnienie później świat był już dla nich za mały... więc polecili w Kosmos, ale i to nie wystarczyło więc postanowili stworzyć wirtualny świat. Bo właśnie tym na naszych oczach staje się Internet. Wiem, że to też za małe, będą jeszcze nowe pomysły i będziemy się nimi zachwycać. To jest fascynujące i właśnie dlatego studiuję historię. Opowiada ona o kolejnych rewolucjach. Każda kolejna żeby nią zostać musi być bardziej odkrywczą od poprzedniej, ale ja pamiętam o największym rewolucjonście w dziejach – Adamie, który wziął do ręki nie nadający się do jedzenia kamień i zmienił nim świat.

Krzysztof Pałuczak



## Armia Chanatu Krymskiego

Na czwartym semestrze studiów historycznych przychodzi nam przerabiać czasy nowożytne. Jest to moja ulubiona epoka. Najbardziej interesuje mnie wiek XVII, a szczególnie zagadnienia związane z, jak to sam nazywam, bardzo bardzo Bliskim Wschodem. Mam tu na myśli Ukrainę, Chanat Krymski czy Państwo Moskiewskie. Napisałem ostatnio pod kierownictwem prof. Mariana Pawlaka pracę proseminaryjną pt. *Chanat Krymski i jego rola w powstaniu Chmielnickiego*. Chciałbym Wam tutaj przedstawić fragment tejże pracy poświęcony problematyce armii tatarskiej.

Chanat nigdy nie był państwem dużym i silnym. Krym znajdował się na styku znacznie większych i bardziej wpływowych od siebie potęg. Wydaje się oczywistym, że naturalna powinna być sytuacja w której to Tatarzy ulegają silniejszym sąsiadom. Jednakże historia Chanatu Krymskiego kończy się dopiero w 1783 r. wraz z podbojem Krymu przez Rosję. W jaki sposób małe dość prymitywne państwo przez z górą trzy wieki funkcjonuje na obrzeżach Europy Wschodniej? Odpowiedzią na to pytanie jest polityka zagraniczna Krymu. Chanat doskonale zdawał sobie sprawę, że jego byt zależy od równowagi sił w tym rejonie Europy. Gdyby któryś z sąsiadów Tatarów zdobył pozycję mocarstwową oznaczałoby to koniec istnienia ich państwa. Dlatego podstawą polityki tatarskiej było lawirowanie pomiędzy sąsiadami. Często zmiana sojuszy, wygrywanie na swoją korzyść konfliktów między państwami Europy Wschodniej to chleb powszedni dyplomacji Chanatu. W historiografii istnieje pojęcie *balance of power*. Określa ono założenia polityki Anglii, czyli później Wielkiej Brytanii, która z perspektywy swojego wyspiarskiego położenia starała się tak wpływać na wydarzenia na kontynencie europejskim by zachować równowagę sił. Taka strategia gwarantowała bezpieczeństwo Anglii i myślę, że podstawowe założenia angielskiego *balance of power* pokrywają się z polityką Chanatu Krymskiego. Przedłużeniem polityki jest z reguły wojna, a w tym rzemiośle Tatarzy rzadko kiedy spotykali równych sobie.

Liczebność Tatarów krymskich od dawna wywoływała spory i polemiki wśród badaczy. Dawne źródła podają liczby różne, często bardzo wysokie, rzędu nawet 100-200 tys. wojowników co musi budzić obiekcje historyków. Istnieje pogląd, że zawyżanie stanu liczebnego armii tatarskiej przez dawnych dziejopisów wynika z potrzeby wy tłumaczenia faktu, iż wielka Rzeczpospolita nie mogła tak naprawdę nigdy powstrzymać łupieżczych grabieżczych wypraw Tatarów.<sup>1</sup> Pierwszym badaczem, który konsekwentnie i krytycznie podszedł do tego problemu był Olgierd Górka (Liczebność Tatarów krymskich i ich wojsk, Przegląd Historyczno-Wojskowy, t. VIII/2, 1936).

Na podstawie carskiego spisu ludności Krymu z 1783 r. oraz danych prefekta Kaffy (jedno z ważniejszych krymskich miast) Emiddio Dorteili d'Ascoli z 1634 r. Górka oszacował liczbę ludności Chanatu na około 250 tys., a liczebność ich armii ustalił na poziomie 20-25 tys. wojowników. Wielu historyków przyjęło stwierdzenia Górki i powtarzało je za nim. Znalazła się jednak całkiem spora grupa badaczy (m.in. Stefan Kuczyński, Zbigniew Wójcik, Adam Przyboś, czy Władysław Andrzej Serczyk), którzy próbowali udowodnić, że Olgierd Górka pominął istotne dla struktury osadniczej Krymu fakty. Mianowicie nie uwzględnił on wielkiej emigracji Tatarów z XVIII w. kiedy to opuszczali oni tłumnie Chanat i udawali się przede wszystkim do Turcji. Brak jednoznacznych danych co do rozmiarów tej migracji. Również tu pozostają tylko wartości szacunkowe, wahające się od 50 do 200 tys. Ponadto według swoich krytyków Górka znacznie zaniżył liczebność ord nogajskich (ordy nogajskie to koczownicze ludy mongolskie ujarzmione przez Tatarów). Według niego ordy te liczyły sobie przeciętnie po 2 tys. ludzi, największa z nich budziacka zaś 15-20 tys. Oponenti Górki ustalili, iż Ordę te mogły być nawet kilkakrotnie większe od jego ustaleń. Jednym z ich argumentów jest to, że Nogaje buntowali się przeciwko Tatarom, nieraz nawet rywalizowali z Gerejami (dynastia chanów krymskich). Gdyby ordy koczownicze były rzeczywiście tak mało liczne jak chce tego Górka to nie mogłyby przecież być poważnym konkurentem Tatarów krymskich i Gerejów. Ostatecznie Leszek Podhorodecki ustala ilość mieszkańców Chanatu na 300-350 tys., a wielkość armii krymskiej na 20-30 tys. żołnierzy, czyli tak jak chce tego Górka, ale zaznacza, że w połączeniu z Nogajami siły zbrojne Tatarów mogły liczyć nawet 40-50 tys. ludzi.<sup>2</sup>

Skoro wiemy już jak liczna mogła być armia Chanatu to czas teraz na kilka słów na temat samych żołnierzy. Siły zbrojne Tatarów krymskich dzieliły się na dwie podstawowe grupy: wojsko zawodowe i pospolite ruszenie złożone z ogółu poddanych chańskich. Oddziałów zawodowych było bardzo niewiele, przede wszystkim piechota; częściowo opłacana przez chana krymskiego, a częściowo przez Portę; uzbrojona była w janczarki i szkolona na wzór tureckich janczarów przez co częstokroć po prostu ją z nimi myłono.<sup>3</sup> W skład formacji zawodowych wchodziła również obsługa artylerii. Wojsko to rzadko kiedy było zabierane na wyprawę, z reguły strzegło krymskich twierdz.

Podstawową częścią armii tatarskiej była jazda złożona z pospolitego ruszenia. Źródła jednoznacznie wskazują, że wyekwipowanie i uzbrojenie oddziałów kawalerii krymskiej było bardzo słabe, żeby nie powiedzieć liche. W XVI w. Tatarzy praktycznie nie posiadali broni palnej, tylko nieliczni spośród nich mieli łuki i strzały, a słynne krzywe szable tatarskie czy też tureckie oraz

<sup>1</sup> Majewski R., Z problematyki walk z Tatarami w pierwszej połowie XVII w., Śląski Kwartalnik Historyczny „Sobótka”, 1975, nr 2, s. 231.

<sup>2</sup> Podhorodecki L., Chanat Krymski i jego stosunki z Polską w XV-XVIII w., Warszawa 1987, s. 42.

<sup>3</sup> Tamże, s. 53.

pancerze i hełmy należały tylko do garstki najbogatszej arystokracji. „Tylko najmajętniejsi noszą kolczugi; inni z braku środków wyruszają na wojnę, tak jak stoja.”<sup>1</sup> Zdecydowana większość Tatarów uzbrojona była tylko w dziury, oszczepy, oraz kościane i drewniane buzdygany. Oczywiście z czasem uzbrojenie armii krymskiej się poprawiało, ale nawet w połowie XVII w. wyraźnie odstawało od standardów.

Z czego więc, jeśli nie z uzbrojenia wynikała niewątpliwa wartość jazdy tatarskiej. Rzeczpospolita nigdy nie potrafiła ostatecznie poradzić sobie z najazdami „wiatrolotnych jeźdźców”, które wprowadziły w sposób bezpośredni nie zagrażały jej suwerenności i całości terytorium, były wszakże bardzo dokuczliwe i hamowały demograficzny i ekonomiczny rozwój znacznej części kraju.<sup>2</sup> Przyczyną kłopotów z Tatarami nie była z pewnością ich przewaga liczebna. Jak już to wcześniej pisałem liczebność armii krymskiej wahała się od 20 do 30 tys., jednakże była to siła możliwa do wystawienia tylko przy całkowitej i maksymalnej mobilizacji. W praktyce w większości wypraw tatarskich uczestniczyło po parę tysięcy ludzi, a w największych najazdach 10-12 tys.<sup>3</sup>

Największą zaletą sił zbrojnych Krymu była jakość żołnierza i taktyka walki. Każdy chłopiec tatarski już od dziecka oswajany był z rzemiosłem wojskowym, dyscypliną, wytrzymałością i odwagą. Wilhelm Beauplan tak o tym wspomina w swym *Opisie Ukrainy*: „Oto jak uczą [Tatarzy] swoje dzieci by trafiły do celu. Gdy osiągną one już lat dwanaście, wysyła się je na wojnę. Matki dbają, gdy dzieci są jeszcze małe, by każdego dnia były one raz kąpane w wodzie z rozpuszczoną solą, aby skóra stwardniała i stawała się bardziej odporna na chłody w czasie, gdy trzeba przepływać rzeki zimową porą.”<sup>4</sup> Czymś naturalnym dla Tatarów była jazda konna, a także, co jest tu istotne, strzelanie z łuku w pełnym galopie. Konie tatarskie, bachmaty, były niezwykle wytrzymałe, zdolne do pokonywania bardzo dużych odległości w krótkim czasie, a przy tym były bardzo mało wymagające. Potrafiły przebiec „za jednym zamachem 20 do 30 mil.”<sup>5</sup> Każdy Tatar zabierał na wyprawę po 3-4 konie, nosiły one zapasy żywności w jukach, ale służyły także do zmieniania podczas pochodów. Do największych zalet jazdy tatarskiej należała ruchliwość. Końmi „(...) biegle posługują się, a taką mają zręczność, że w galopie skaczą z jednego konia na drugiego, gdy pierwszemu z nich tchu już braknie. Tego drugiego ręką prowadzą. Umożliwia to dogodniejszą ucieczkę gdy ich ścigają.”<sup>6</sup> Dzięki temu armia tatarska mogła poruszać się bardzo szybko, pokonując dziennie nawet do 100 km, co było nieosiągalne przez inne wojska.

<sup>1</sup> Eryka Lassoty i Wilhelma Beauplana opisy Ukrainy, przekład Z. Stasiewskiej i S. Mellera, red. naukowa Z. Wójcika, Warszawa 1972, s. 128.

<sup>2</sup> Majewski R., op. cit., s. 231.

<sup>3</sup> Tamże, s. 233.

<sup>4</sup> Eryka Lassoty i Wilhelma Beauplana opisy Ukrainy, s. 127.

<sup>5</sup> Tamże, s. 129.

<sup>6</sup> Tamże, s. 129.

Podstawą taktyki Tatarów było unikanie otwartego kontaktu z przeciwnikiem, zwłaszcza gdy obciążeni byli łupem i brańcami. Jeśli już doszło do walki to starali się oskrzydlić lub otoczyć armię wroga. Pomagał w tym stosowany przez nich szyk w kształcie półksiężyca z ramionami wysuniętymi do przodu. Szyk ten był elastyczny i ruchomy co pozwalało wymanewrować cięższe formacje polskie (przede wszystkim husarię). Jeśli przewaga wroga była zbyt wielka to Tatarzy pozorowali atak po czym się rozpraszali i zbierali w innym miejscu. Manewr ten był powtarzany aż do całkowitego znużenia przeciwnika, po czym po prostu uciekali z pola bitwy omijając nieprzyjaciela szerokim łukiem i szybkim marszem oddalali się na bezpieczną odległość. Istotnym elementem taktyki krymskiej był także gruntowny wywiad i rozpoznanie sił przeciwnika. Pozwalało to jeszcze skuteczniej unikać zetknięcia z wrogimi oddziałami. Jeśli dodać do tego praktykę maskowania tras swych pochodów to otrzymamy obraz nieuchwytej i siejącej postrach armii. Stefan Żółkiewski, który bez mała pół życia spędził na walkach z nimi tak to komentował: „Tatary gromić to tak niepodobna, jako kiedy by kto chciał ptaki w powietrzu latające pobić.”<sup>7</sup>

Słabą stroną armii tatarskiej była mała odporność na ogień broni palnej. „Wielokrotnie spotykałem w polu ponad 500 Tatarów ruszających do ataku na nasz tabor i choć towarzyszyło mi zaledwie 50 do 60 Kozaków, nic nam nie mogli zrobić. Podobnie i my nie mogliśmy się im dać we znaki gdyż nie zbliżali się do nas na odległość zasięgu broni (...)”<sup>8</sup> - tak strach Tatarów przed bronią palną opisywał Beauplan. Inną słabością wojsk krymskich była kompletna nieumiejętność zdobywania twierdz czy nawet tylko niewielkich fortyfikacji, dlatego też Tatarzy nigdy nie dążyli do osiągnięcia trwałych zdobyczy terytorialnych, z czym jest to przecież nieodłącznie związane.<sup>9</sup>

Krzysztof Pałuczak



<sup>7</sup> Podhorodecki L., op. cit., s. 59.

<sup>8</sup> Eryka Lassoty i Wilhelma Beauplana opisy Ukrainy, s. 136.

<sup>9</sup> Majewski R., op. cit., s. 237.

## Kocur na usługach US Navy

Jeśli gdzieś na świecie wybucha kryzys, pojawia się w pobliżu amerykańska marynarka wojenna i jej lotniskowce. Wraz z nimi, od 30-tu lat, główny bohater tego artykułu - Grumman F-14 Tomcat.

### I. Historia:

Po II wojnie światowej amerykańskie działania zbrojne opierały się głównie na marynarce wojennej i jej lotniskowcach, które stanowią trzon zespołów uderzeniowych. Główny przeciwnik, ZSRR, nie posiadał floty wojennej mogącej mierzyć się z amerykańską i rozpoczął program tzw. "Asymetrycznej odpowiedzi". Program ten polegał na tym, że na każdą nową generację okrętów amerykańskich budowano rakiety przeciwokrętowe nowego typu. Głównym celem dla tych rakiet miał być lotniskowiec, jednak żeby zaatakować lotniskowiec należało najpierw uporać się z jego eskortą, w tym i z myśliwcami bazującymi na pokładach pływających lotnisk. W 1968 roku US Navy (amerykańska marynarka wojenna) rozpoczęła program VFX (nowy myśliwiec przewagi powietrznej dla marynarki), który miał zastąpić F-4 Phantom II. W czasie programu doszło do porozumienia US Navy z US Air Force (siły powietrzne USA), VFX miał zostać wspólnym myśliwcem przewagi powietrznej dla obu formacji. Do finału dopuszczono dwie firmy: General Dynamics oferujący samolot F-111 i Grumman ze swoim F-14. Ostatecznie komisja programu zdecydowała, że zwycięzcą został F-111 jednak w wyniku prób prototypów okazało się że wersja na US Navy jest niedopracowana i nie spełnia wszystkich wymagań. Ostatecznie doszło do przerwania współpracy US Navy z US Air Force i F-111 został w końcu zaakceptowany tylko w siłach powietrznych jako samolot bombowy. US Navy zwróciła się do firmy Grumman, która posiadała największe doświadczenie w budowie samolotów dla marynarki wojennej. 4 II 1969 roku została podpisana umowa na budowę i próby prototypów. Wraz z firmą Grumman podpisano umowę z firmą Hughes, która miała zaprojektować nową broń dla nowego myśliwca. W 1970 roku pierwszy prototyp F-14 wzniósł się w powietrze, w 1972 roku 12 prototypów rozpoczęło próby eksploatacyjne na pokładzie lotniskowców. W 1974 roku departament marynarki zaakceptował wynik prób i zdecydował o przyjęciu na uzbrojenie samolotów F-14 wraz z całym systemem uzbrojenia, zgodnie z tradycją firmy

Grumman F-14 został nazwany "Tomcat", stając się (wybiegając w przyszłość) ostatnim ze słynnej rodziny morskich kotów.

### II. Rozwój konstrukcji i systemów uzbrojenia:

Od chwili wprowadzenia pierwszych maszyn do służby, w wersji F-14 A, rozpoczął się proces ulepszania konstrukcji, co zaowocowało opracowaniem 2 nowych wersji tego wspaniałego samolotu:

- F-14 B - posiadającej silniki o większej mocy
- F-14 D - znanej także jako Super Tomcat - posiadającej nowe systemy elektroniczne, a także posiadającą możliwość atakowania celów naziemnych.

F-14 był projektowany jako myśliwiec przewagi powietrznej, jego głównym zadaniem miało być, i jest do dziś, zapewnienie ochrony lotniskowcom i maszynom szturmowym. Do tego celu został już od podstaw przystosowany do używania najpotężniejszej broni myśliwców - rakiet AIM-54 Phoenix, dzięki którym mógł zwalczać cele powietrzne odległe o 200 km. Skomplikowany system uzbrojenia pozwalał na jednoczesne odpalenie wszystkich rakiet tego typu, każdy F-14 może przenosić do 6 Phoenixów, na każdym lotniskowcu bazuje do 30 Tomcatów, taka siła ognia powoduje że potencjalny atak lotniczy na amerykański lotniskowiec jest próbą samobójczą. Jednak po zakończeniu Zimnej wojny okazało się, że przy malejących funduszach na obronność i przy większej ilości misji policyjnych, potrzeba na lotniskowcach dodatkowych maszyn mogących atakować cele naziemne. Doszło więc do modernizacji Tomcata, dzięki czemu stał on się w latach 90-tych samolotem wielozadaniowym mogącym atakować cele naziemnie przy użyciu kierowanych bomb, jak i być zdolnym do walki z samolotami potencjalnego przeciwnika.

### III. Użytkownicy :

Tomcat został zaprojektowany specjalnie pod wymogi US Navy i być może przez to nie odniósł sukcesu eksportowego. Jedyne



zamowienie złożył szach Iranu , który dla swoich sił powietrznych kupił 80 egzemplarzy, z których dostarczono 79 sztuk , ostatni pozostał w USA po obaleniu szacha i przejęciu władzy przez ajatollahów. Poza Iranem próbowano zainteresować Tomcatem Niemcy, Kanadę, Australię, Japonię i Izrael, jednak żadne z nich nie kupiło go. Ogółem zbudowano 710 samolotów.

#### IV. Zastosowanie bojowe :

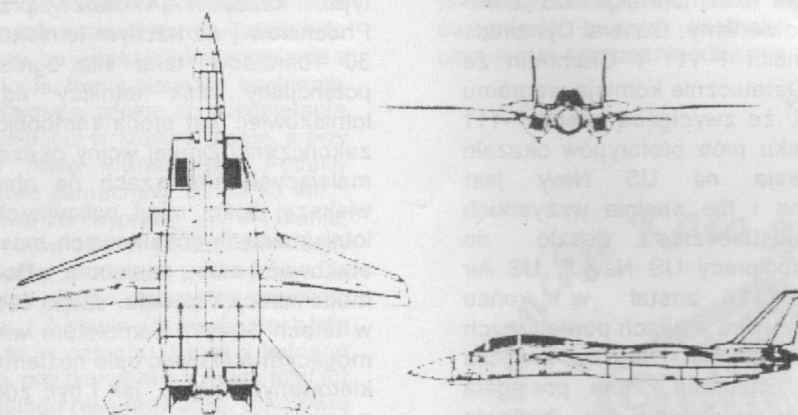
Jako obrońca floty Tomcat znajduje się zawsze tam gdzie coś się dzieje, już w 1975 roku F-14 osłaniały wycofywanie się wojsk amerykańskich z Wietnamu. Do 1990 roku osłaniały flotę przed radzieckimi bombowcami-nosicielami rakiet przeciwokrętowych. Pierwsze działania wojenne Tomcaty przeprowadziły w latach 1980-88, w czasie wojny iracko-irańskiej. Pozbawione części zamiennych irańskie Tomcaty zestrzeliły około 8 maszyn przeciwnika, tracąc w walkach powietrznych 5 własnych. W latach 80-tych Libia zaczęła rościć swoje prawa do Zatoki Wielkiej Sytry, uznając ją jako własne wody terytorialne, społeczność międzynarodowa sprzeciwiła się temu i dwukrotnie, w 1981 i 1989, doszło do walk powietrznych pomiędzy F-14 a maszynami libijskimi w czasie których F-14 zestrzeliły 4 maszyny wroga bez strat własnych.

W 1985 roku doszło do jednego z najbardziej znanych epizodów w historii służby F-14 US Navy - porwanie statku pasażerskiego "Achille Lauro" przez terrorystów z Organizacji Wyzwolenia Palestyny. W czasie porwania terroryści zamordowali obywatela Stanów Zjednoczonych, co spowodowało że sprawa na poważnie zainteresowali się Amerykanie wysyłając na Morze Śródziemne lotniskowiec. Zadaniem Tomcatów było przechwycenie samolotu którym terroryści lecieli z Egiptu do Libii i skierowanie go do amerykańskiej bazy we Włoszech gdzie po wylądowaniu zostali złapani przez elitarny oddział komandosów SEAL. Tomcaty wzięły oczywiście także udział w operacji Pustynna Burza, gdzie zestrzeliły 1 samolot przeciwnika, tracąc 1 maszynę strąconą przez obronę przeciwlotniczą. Po Pustynnej Burzy Tomcaty brały udział w wojnie o Kosowo, a także w Afganistanie i w Iraku, jednak tam nie napotkały już przeciwnika w powietrzu i wykonywały tylko misje szturmowe, bez strat własnych.

#### V. Przyszłość:

Niestety panowanie Tomcata zbliża się powoli do końca, US Navy zastępuje go nową wersją F/A-18, nazwaną Super Hornet, ostatnia jednostka F-14 przesiądzie się na te maszyny w 2009 roku.

Łukasz Pacholski



Rozpiętość	19,54 / 10,12 m
Długość	18,86 m
Wysokość	4,88 m
Masa własna	18112 kg
Masa max	33724 kg
Prędkość max	2500 km/h
Pułap	15240 m
Promień działania	1232 km

#### **Merkuriusz Historyków**

Adres redakcji:

Studenckie Koło Historyków AB

ul. Przemysłowa 34 p. 29

85-758 Bydgoszcz

e-mail: skhab@o2.pl